

# RAPORT

*Dobre pożegnanie*







# Uśmiechali się, odchodząc

TEKST: AGNIESZKA LITOROWICZ- SIEGERT ILLUSTRACJE: MARIANNA SZTYMA

Edyta była tak dumna ze swojej córki Pauliny. Iwona kochała Malwinę, przyjaciółkę. Anna – Jurka, męża, Katarzyna – Stanisława, swojego ojca. Każdy straci kiedyś kogoś, kogo kocha. Ale koniec życia nie musi oznaczać końca bliskiej więzi. I nie oznacza wcale beznadziejnej rozpacz. Bywają ludzie, którzy potrafią pięknie zamknąć za sobą drzwi. Kiedy odchodzą, uśmiechają się. Zostawiają nas z nadzieją, że non omnis moriar – nie wszystek umrę.

*Zanim umrę, chcę walczyć o życie.  
Dopóki mogę iść o własnych siłach,  
pójdę tam, gdzie zechcę.*

Paulo Coelho

**O Malwinie opowiada Iwona,  
jej przyjaciółka:**

**P**rzyjaźniłam się z nią od podstawówki. Imponowała mi optymizmem i konsekwencją. Chciała zostać skrzypaczką, ale po dwóch latach nauki w szkole muzycznej dowiedziała się, że budowa jej dłoni wyklucza grę na poziomie wirtuozerskim. Nie załamała się, przepisała do klasy perkusji i założyła zespół rockowy. Potem postanowiła zostać położną. Ale miała

skrzywienie kręgosłupa – to przeciwwskazanie do uprawiania tego zawodu. Malwina znów się nie poddała. Dwa lata jeździła na terapię

do kręgarza. Wyła z bólu po każdej wizycie, ale do szkoły się dostała. Została położną, skończyła też wydział zarządzania, urodziła dwie córki. A potem pierwszy cios od życia: mąż, inżynier, zdradził ją z sekretarką. Malwina zagryzła zęby, wybaczyła i znalazła plus tej sytuacji – ze zmartwienia schudła, mieści się w dzinsy z czasów liceum. Ona nie wywieszała białej flagi. Nigdy. Drugi cios przyjęła cztery lata temu. W czasie kąpieli wyczuła w piersi guz. Lekarz

powiedział, że jest duży, twardy i niepokojący. Mammografia potwierdziła obawy. Zadzwoiła do mnie i oznajmiła: „Nie pojedę z tobą na żagle, bo muszę wyciąć raka. Pojedziemy jesienią”.

Odjęło mi mowę, a ona od tej informacji płynnie przeszła do opowiadania o psie, którego bierze ze schroniska. Czułam, że powinnam jej na to pozwolić, ale wszystko we mnie płakało – moja przyjaciółka była śmiertelnie chora. A ona przyjęła strategię: udajemy, że tak nie jest.

## ZAPRZECZANIE

Poznańska klinika na ulicy Łąkowej mieściła się w budynku po klasztorze. W starym ogrodzie >





< jest ocieniony zaulek, a tam kuta ławka – miejsce naszych długich rozmów. Odwiedzałam Malwinę często, przywoziłam ulubione dania, których i tak nie jadła, bo straciła smak po chemii. Wciąż się śmiała. „Rak-wrak, już zaraz po nim”, „Za pół roku idę na Nosal, nic mi zaraza nie zrobi” – drwiła z choroby. Miała coraz gorsze wyniki badań i skórę jak z pergaminu. „Pamiętasz, jak wkurzały mnie moje pensjonarskie rumieńce? Teraz jestem damą z porcelany” – uśmiechała się do lusterka. Wiedziałam, że kłamie. Że chce, aby jej córki widziały to samo, co uparła się widzieć ona – sytuacja jest pod kontrolą, damy radę. A było źle. Starsza, Nina, patrzyła mi w oczy i pytała: „Ciociu, mama nie mówi nam wszystkiego, prawda?”. A młodsza Tosia wczepiała się we mnie jak małpka i cicho płakała. Pewnego dnia usiadłam

## TO JUŻ NIEDŁUGO...

**Przed śmiercią  
Malwina chciała,  
żebyśmy nagrały  
naszą ulubioną  
piosenkę:  
*Dmuchawce,  
latawce, wiatr.*  
Fałszowałyśmy,  
śmiejąc się  
i płacząc.**

na ławce obok Malwiny i powiedziałam: „Nina już nie chce zdawać na studia, woli iść do pracy, żeby zarabiać i być na miejscu, opiekować się Tosią, gdyby ciebie zabrakło”. Malwina zaniemówiła. Czułam, że jest wściekła. Jak to zabrakło?! Nie taki jest plan! Wtedy miała już przerzuty do kości. Przytuliłam ją i poprosiłam: „Nie udawajmy dłużej...”. Spięła się, nastroszyła. A potem pierwszy raz wybuchnęła płaczem. „Myślisz, że umrę?” – zapytała, a ja musiałam przepchnąć przez ściśnięte gardło: „Możliwe”. Splotła chude palce, aż trzasnęły kostki. „Muszę to przemyśleć” – powiedziała i odeszła na oddział jak duch, w białej koszuli z falbaną.

### POGODZENIE

Kilka tygodni później, gdy była w domu w przerwie między naświetlaniami, zastałam ją

przy stole z Niną. Uczyla ją płacenia rachunków. Wcześniej zrobiła córkę, już pełnoletnią, współwłaścicielką konta. Była spokojna. Zrozumiałam, że zaszła w niej zmiana. „Powinnam wykorzystać ten czas, bo raczej umrę” – powiedziała mi tego dnia. Rozmawiałam z jej lekarką, wiedziałam, że musimy szykować się na najgorsze. „Jest lepiej, ciociu, gdy to wiem” – wyznała mi Nina. Wolała prawdę niż ucieczkę w złudną nadzieję. Pierwszy raz Malwina płakała przy nas, kiedy oglądałyśmy album z Komunii Tosi. „Nie będę na twoim ślubie w kościele, ale będę się na ciebie gapila z góry, czy welon ci się nie przekrzywił” – szepnęła przez łyż. Tosia przytuliła się do niej mocno. „Chcę mieć w trumnie niebieską sukienkę” – powiedziała do starszej córki. Ta kiwnęła głową, drżała jej broda, ale się nie rozplakała. W ten sposób zaczęliśmy rozmawiać o śmierci Malwiny. I o życiu, które jej zostało. „A dlaczego nie kupić butów na studniówkę już dziś?” – zapytała Ninę, choć do uroczystości był jeszcze rok. Pojechaliśmy we trzy do galerii i kupiliśmy lakierowane szpilki. „Zanim umrę, musisz nauczyć się w tym chodzić” – zaordynowała i Nina posłusznie dreptała na obcasach po domu. „Chciałabym jeszcze przejechać się tym dziwnym statkiem po trawie, zawieziesz mnie nad Kanał Elbląski?” – zapytała Malwina wiosną. W maju pojechaliśmy z dziewczynkami do Lanckorony, którą ich mama zawsze chciała zobaczyć, w czerwcu we dwie zamówiłyśmy stolik w drogim warszawskim hotelu i zjawiłyśmy się tam wystrojone jak gwiazdy – zachcianka mojej przyjaciółki. Kolarcję zafundował mąż Malwiny, który wziął urlop i przyjechał ze Szwecji, gdzie od lat pracował na platformie wiertniczej. Wcześniej był w domu tylko gościem.

### SPOKÓJ

Gdy jeszcze mogła mówić, rozmawialiśmy o jej strachu. Bała się bólu, niemożności samodzielnego funkcjonowania.



Bała się, że dziewczynki nie dadzą sobie rady z tęsknotą. Że serce jej matki nie wytrzyma straty dziecka. Nazywała swoje uczucia, potem była zmęczona i... zadowolona. Cieszyła się, że może wyrzucić z siebie złe myśli. Dzięki temu miała trochę miejsca na radość. Któregoś razu poszła pod prysznic, wyszła z filuterną miną. „Muszę ci to powiedzieć. Woda z prysznicu lecząca wprost na łysą głowę to bardzo sensualne wrażenie, wręcz seksualne”. Do końca miała inwencję. Pewnego dnia napisała listy do córek, poprosiła, żebym je przechowała do dnia dwudziestych pierwszych urodzin każdej. Pożegnała się w nich, wyznała, jak bardzo i za co je kocha, czego im życzy. Do kopert włożyła karteczki z odciskiem umalowanych ust. Nie mogłam na to patrzeć. „Teraz trochę poryczymy, a potem będzie jak znalazł” – skwitowała. Powiedziała, że przyznanie się do umierania było najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się jej w życiu. Byłoby źle, gdyby wciąż traciła energię na zaprzeczanie. W lipcu Malwina czuła się już fatalnie, nie mogła utrzymać długopisu. O spisanie „testamentu osobistego” poprosiła mnie: biżuteria dla dziewczynek, torebki dla mnie, obraz polskiego malarza na aukcję Owsiaaka. Żyła jeszcze trzy miesiące. Każdy dzień wypełniała świadomością, że wciąż tu jest. W cztery tygodnie opanowała podstawy hiszpańskiego, choć była półprzutomna, na ogromnych dawkach morfiny. I choć teoretycznie nie było po co. Niedługo przed śmiercią chciała, żebyśmy nagrały razem naszą ulubioną piosenkę *Dmuchawce, latawce, wiatr*. Falszowałyśmy do dyktafonu, zaśmiewając się i płacząc na zmianę... Pochowaliśmy Malwinę w błękitnej sukni i wielkich kolczykach. Córki dzielnie przyjmowały kondolencje. Oswoiły tę śmierć? Tak się nie da. Ale były spokojne. Nina jest dzisiaj wolontariuszką na oddziale onkologii, Tosia częściej wspomina

truskawki, które jadłyśmy na rynku w Lanckoronie, niż mamę na szpitalnym łóżku. A ja, ilekroć myślę, że wszystko przepadło, przypominam sobie łysą Malwinę wychodzącą spod prysznicza i szukam światełka w tunelu.

### *Zgoda na własną śmierć pozwala odnaleźć główny nurt życia.*

Brat Roger Schütz, założyciel wspólnoty ekumenicznej z Taizé

### *O Stanisławie opowiada jego córka Katarzyna:*

Ojciec nie uwierzył w diagnozę. Przecież to był tylko atak bólu żołądka. Jechał autem i omal nie staranował ludzi na przystanku. Pomyślał, że się czymś zatrul, ale wyniki badań nie pozostawiały złudzeń. Nowotwór jelita grubego. Ojciec z dnia na dzień zamknął się w sobie. Nie chciał rozmawiać z nikim, odwołał zajęcia na uczelni. Miał 68 lat, dotąd był aktywny, jeździł na rowerze, podróżował z mamą. Tego lata planował wyprawę do Norwegii, by łowić łososie w rzece Tana. Po kolejnej wizycie u lekarza wściekły kopnął stojące w pokrowcach wędki, wyszedł na długi spacer. Potem oznajmił, że kładzie się do szpitala. Poprosił mnie o zajęcie się jego sprawami w banku, gdzie złożył wniosek o kredyt na remont domu letniskowego. Brat miał zaopiekować się matką. Do kliniki ojciec zabrał najlepszą piżamę, angielski szlafrok, słuchawki Bluetooth i anglojęzyczne magazyny. Zmierzał izolować się od innych chorych, szpitalnej obyczajowości i od samej choroby. Udawał, że nie denerwuje się oczekiwaniem na wyniki z histopatologii. W dniu, gdy je przysłano, znalazłam na szpitalnym łóżku kruche, niezgrabnego starca pogrążonego w rozpacz. Ojciec miał zaawansowanego raka z przerzutami. Lekarze zlecili natychmiastowe naświetlanie. Następnego dnia powlókł się do gabinetu ordynatora, żeby zapytać, ile czasu mu zostało.

**42%**  
z nas chciałoby przed śmiercią naprawić relacje z bliskimi, załagodzić konflikty.

**15%**  
Polaków twierdzi, że ważne jest dla nich, by w ostatniej chwili życia była przy nich rodzina i przyjaciele.

**60%**  
osób opowiada się za wprowadzeniem do polskiego prawa Testamentu Życia.

**71%**  
ankietowanych wolałoby umrzeć nagle, niespodziewanie, ponad połowa chciałaby, by stało się to we śnie.

*Źródło: sondaż CBOS*

Odradziłam mu tak kategoryczne stawianie sprawy, ale zlekceważył nas. Z obliczeń po rozmowie wyszło mu, że ma przed sobą maksimum pół roku.

### **STRATY**

„Czy pani może to przyspieszyć, chodzi o jeden dokument!” – krzyczał w słuchawkę do urzędniczki, która mogła pomóc w sprawie budowy drogi na osiedlu rodziców. Ojciec uparł się, że zanim umrze, doprowadzi do położenia asfaltu. Złe znosił chemię i radioterapię, miał dni gdy jęczał z bólu w swoim pokoju i nie chciał widzieć nikogo. Kiedy odzyskiwał formę, wyliczał: nie zobaczy najbliższych igrzysk olimpijskich, zakończenia ulubionego serialu, nie pozna wyniku wyborów do sejmu w przyszłym roku. Mama płakała w łazience, ja przekonywałam: „Tato, a może znajdzie się jakiś lek, może trzeba spróbować terapii ciecierzycą, tyle o tym piszą na forach”. Wiedziałam, że to ściema – chciałam jednak wzbudzić w nim zainteresowanie, chęć do życia. Nie słuchał. Wolał siebie żałować: mógł jeszcze jechać z wykładami do Stanów, mógł kandydować na radnego. A teraz co? Nawet tej cholernej drogi nie doczeka. Pewnego wieczoru mój brat usiadł naprzeciwko niego i powiedział: „A nie martwi cię, że mógłbyś nie doczekać narodzin wnuka? Przecież wiesz, że moja Ania jest w ciąży”. Faktycznie, ojciec mówił tylko o sobie, o swoich straconych szansach i planach. Mama miała pretensje, że brat się go czepia. Ale tata, o dziwo, nie wpadł w złość. Zamyślił się, wyszedł do ogrodu, długo kluczył po alejkach, a potem zapytał brata: „Myślisz, że jestem egoistą?”. Nie dostał odpowiedzi – kto miałby odwagę powiedzieć mu coś takiego w obliczu śmierci?

### **NAPRAWIANIE**

Kilka dni przed swoimi imieninami poprosił, bym zdobyła numer jego kolegi z dawnych lat. Zdziwiłam się, wiedziałam, >





< że ojciec go nie lubił. Mieli inne poglądy, tata kpł z jego „radykalnego zacierzewienia”. Kiedyś byli blisko, ojciec nawet zawdzięczał mu pracę na uczelni. Zaprosił pana Leona na imieniny. Ten był zaskoczony, ale przyszedł. Zjawili się jeszcze parę osób, ale to z nim ojciec zamknął się w pokoju. Rozmawiali długo, na pożegnanie tata sprezentował mu starą książkę o budowie mostów. Była dla niego cenna, ale ją oddał. Co to miało znaczyć? Zrozumiałam, gdy pewnego dnia usłyszałam od mamy, że ojciec chce się spotkać ze swoim bratem. Byli skłócony od lat, wątpliwe, czy któryś pamiętał, o co poszło. Wuj początkowo nie chciał przyjechać, ale w końcu się zjawiał. „Co tu takie błoto, droga by się przydała!” – oświadczył na wejściu, a tato odpowiedział: „Mówię ci, Leszek, w gminie jedna baba się uparła, żeby nie dać

## NIE JEST ZA PÓŹNO

**Wybaczył bratu,  
pogodził się  
z przyjacielem.  
Mamie okazywał  
miłość na  
każdym kroku.  
Pod koniec życia  
ojciec postanowił  
naprawić to, co  
zawalił. Zdążył.**

pozwolenia na asfalt. Kawy się napijesz?” – i rozmowa popłynęła, jakby nie dzieliły ich lata złości. Wystarczył jeden gest... Dotarło do mnie, że ojciec chce naprawić to, co zawalił. Po powrocie do domu z kolejnego naświetlania poprosił mnie o rozmowę w cztery oczy. „Przed laty krążyły plotki, że zdradziłem twoją matkę. Ona nie robiła śledztwa, dała kredyt zaufania. Nigdy jej nie powiedziałem, jakie to było dla mnie ważne... Myślisz, że teraz powinienem powiedzieć, jak było naprawdę?”. Miał lzy w oczach, ja również. Powiedziałam, że to jego decyzja. Nigdy nie mówiliśmy o takich sprawach. On nie był wylewny ani sentymentalny. W tych dniach zaczął mówić do mnie „Kasiu”, dotąd byłam Katarzyną. Brata spytał, jak dadzą na imię dziecku. Kiedy usłyszał, że Wanda, po babci, wyjął z albumu

zdjęcia swojej matki. Wkrótce kazał się zawieźć na jej grób. Nie był tam od dawna.

## LEPSZY CZŁOWIEK

Któregoś dnia zapytał mnie, czy wiem, że siostra mojej prababki była solistką w operze lwowskiej. Skąd miałam wiedzieć? „Powinnaś” – uznał. Ale nie tonem apodyktycznym jak zazwyczaj. „Chodź, zrobimy drzewo genealogiczne, żebyście wiedzieli, skąd się wzięliście. Jak mnie zabraknie, kto wam opowie?” – uśmiechnął się łagodnie i usiedliśmy razem przy stole. Ku mojemu zdziwieniu tata rysował gałęzie drzewa bez zaglądania na rewersy zdjęć, by podpatrzeć daty. Kojarzył nazwiska panińskie, potomstwo, nawet zawody. Śmialiśmy się razem z dziejów wuja Karola, który z miłości do artystki cyrkowej zapisał się do trupy, udając, że jest woltyżerem, i wybił dwie jedynki na pierwszym treningu. Może to była tylko legenda, ale miło się było pośmiać z tatą. Przeważnie był oschły. Wkrótce zagadnął mnie o Mikołaja, syna kuzynki, która mieszka na wsi. Opowiadałam mu kiedyś o tym chłopcu, bo jest wyjątkowo zdolny, wygrał wiele konkursów matematycznych. Byłam przekonana, że tata puścił tę informację mimo uszu. Teraz chciał się dowiedzieć, czy małego nie warto by było wesprzeć, skoro to taki geniusz. Oświadczył, że jeśli mama się zgodzi, on złoży polecenie przelewu – drobna suma co miesiąc, może się przyda na książki. Byłam wzruszona, tata uciekał wzrokiem. Mama oczywiście nie miała zastrzeżeń, a on ucałował ją w dłoń, czego już dawno nie robił. Z przejścia rozplakała się i uciekła do kuchni. Kilka dni potem do drzwi rodziców zapukał kurier z ogromnym bukietem róż. Między kwiatami mama znalazła liścik z deklaracją miłości. Niestety, tata już tego nie zobaczył. Tego dnia rano pojechał na OIOM. Zmarł trzy dni później. Pół roku po jego śmierci wylano asfalt na naszej drodze.



*Kiedy przychodzi śmierć, dobra tego świata tylko przeszkadzają. Nie zabierzemy z sobą niczego.*

św. Jan Maria Vianney

O Jerzym opowiada jego żona Anna:

Jurek słabo znał swoją rodzinę. Dawno wyprowadził się z Podkarpacia, rodziców odwiedzał tylko w święta. Skończył dwa kierunki studiów, piął się po szczeblach kariery w korporacji. Tam się poznaliśmy. Wzięliśmy ślub, kredyt na dom, urodziły się dzieci. Posłaliśmy je do prywatnych szkół, na lekcje francuskiego i tenisa. Jerzy został wiceprezensem w firmie, ja dyrektorem w sieci handlowej. Mieliśmy pieniądze i tylko czasu nam brakowało. Może gdyby Jurek częściej widywał się z bliskimi, dowiedziałby się, że na raka prostaty umarło pięciu jego krewnych... U niego zaczęło się od krwi w moczu i bólów w dole brzucha. Kłopoty w łóżku tłumaczyliśmy jego przemęczeniem. Jurek zgłosił się do lekarza. Potem do drugiego, bo wyniki testu PSA wypadły złe. Był wściekły, że musi iść na biopsję, kolidowało mu to z pracą. Po jej wyniki pojechaliśmy razem. Kiedy mąż wyszedł z gabinetu, był blady. Powiedział: „Podobno mam raka. To chyba żart?”. 48 lat – za wcześnie na nowotwór prostaty. Chyba że jest się obciążonym genetycznie. W szpitalu zapytał ordynatora, kiedy kuracja hormonalna da efekty, bo za dwa miesiące jest zebranie korporacyjne w Berlinie. Lekarz zaprosił Jurka do gabinetu i powiedział, że prawdopodobnie ma przerzuty. Zgłosił się późno. Czy nie bołą go kości? Bołą, ale mąż myślał, że to po nartach. Okazało się, że rak zaatakował na kilku frontach. Załamana chciałam wziąć urlop, ale mąż zaprotestował: „Uporam się z tym szybko, nie trać wolnego”.

## ZŁOŚĆ

Miesiąc później zatrzymał rękę z kubkiem w połowie drogi do ust. Coś działo się z jego mięśniami. „Możliwe, że nastąpi paraliż

kończyn. Próbujemy to zatrzymać, ale terapia jest nieskuteczna” – usłyszeliśmy od onkologa. Jurek zacisnął zęby i zapytał, czy jeśli

wyłożymy własne pieniądze, możemy liczyć na jakiś specjalny lek. Nie, pieniądze nie mają tu znaczenia. Ta wiadomość była szokiem. Podobnie następną: na tym etapie choroby powinniśmy zastanowić się nad... opieką paliatywną. „Hospicjum?!” – mąż był przerażony. „Pomódl się, córeczko, może jedź do Częstochowy” – moja mama próbowała natchnąć mnie dobrą myślą. Powiedziała mi jej telefonnie Jurkowi. „Jakie: pomódl się? Gdzie jest wasz Bóg, skoro pozwala na takie rzeczy? Przecież ja mam dzieci na utrzymaniu, wielki kredyt, nie mogę tak po prostu wymiksować się z życia!”. Był rozżalony, przeklinał. Musiałam poprosić o wsparcie psychologa z hospicjum. Bo w końcu się tam zgłosiliśmy. Kiedy Jurek powiedział, że woli się powiesić, niż umierać w bólu, pojechałam do Częstochowy. Byłam bezsilna. Po powrocie wcisnęłam mężowi w dłoń różaniec. „Jeśli nie chcesz modlić się za siebie, pomódl się za mnie, bo oszaleję” – rozkazałam. A on wysyczał: „Pod warunkiem, że twoja Maryjka podkreśli mi następne wyniki!”. Jakże się zdziwił po kolejnym badaniu! Nie ukrywam, ja też byłam pod wrażeniem. „Czary mary” – szydził z zaskakującej poprawy, ale nalegałam, więc zgodził się porozmawiać z księdzem.

## ZMIANA

„Kup mi dwie książki – Thomasa Mertona i Gabriele’a Amortha” – poprosił jakiś czas potem. Egzorcysta? I duchowny intelektualista? Przysnaję, najpierw uznałam, że leki Jurka mieszają mu w głowie. Ale książki przyniosłam. Potem jeszcze *Pasję* mistyczki Katarzyny Emmerich. Coraz częściej widziałam męża pogrążonego w lekturze. Albo zamyślonego. „Ludzie się zmieniają” – uśmiechnął się do mnie ksiądz. Nie wiedziałam,

## BILANS ZAMKNIĘTY

Jurek nie żałował, że żył tak szybko, łapczywie. Ale martwił się, że po drodze dużo przegapił, zaniedbał. Przeprosił nas za wszystko. Umarł uśmiechnięty.

co o tym myśleć, byłam zrozpaczona i na tym się głównie skupiałam. Mąż słabł, zapadły mu się policzki. „Myślisz, że Jezus istniał naprawdę?” – spytał jakiś miesiąc przed śmiercią. „No tak, oczywiście” – odpowiedziałam. „Jeśli wciąż tu jest, to dlaczego pozwala, żeby dzieci umierały na raka?” Najtrudniejsze pytanie świata. Spodziewałam się kolejnej złośliwości, ale usłyszałam: „Tak, to trudne... Wybacz mi, że nabijałem się z twojej wiary. I w ogóle że byłem dla ciebie zły. Wiesz, kłótnie, brak czasu dla ciebie i dzieciaków”. Przeprosił, że od czterech lat nie byliśmy na wakacjach i że kiedy moja matka miała zawał, on wyjechał na imprezę firmową. Córkę prosił, by wybaczyła, że jej miłosne dramaty nazwał zawracaniem głowy. I że w dzieciństwie nie kupił jej psa, choć wiedział, jak jej zależało. Syn był zakłopotany, gdy przyszła jego kolej. Co się stało, dlaczego ojciec mówi to wszystko, czemu założył medalik? Jurek uśmiechnął się i poradził mi, żeby przeczytał książkę

ks. Michała Hellera *Zakład o życie wieczne i inne kazania krótkie*. Może też wyjdzie mu, jak słynnemu myślicielowi Pascalowi, że wierząc w Boga, ryzykujemy mało, a zyskać możemy dużo. Dwa tygodnie przed śmiercią Jerzy wypowiadał się i poprosił, żeby dzieci kupiły cztery sadzonki klonów.

## FILIZOFIA

Pojechaliśmy całą rodziną za miasto. Jurek chciał, żebyśmy posadzili drzewa na pamiątkę. Syn zapytał, dlaczego nie na działce przy domu. – Bo byłoby super, gdybyście po mojej śmierci raz na jakiś czas wybierali się na spacer do klonów – tłumaczył. Może to kliwie, ale ma sens. Żeby ten spacer oderwał nas od ważnych spraw, od komputerów. Bo jakie znaczenie ma to, za czym on, Jerzy, pędził przez całe życie? Prawie zmusił nas do filozoficznej rozmowy. Dzieci trudno się w tym odnajdywały. Ojciec nigdy z nimi tak nie rozmawiał. I nie przytulał. Tydzień przed śmiercią objął syna, przygarnął do siebie jak chłopca. Nie wiem, co mu powiedział, rozkleiłam się i wyszłam. Pewnego dnia, kiedy czuł się lepiej, zapytałam: „Czy naprawdę uważasz, że nie warto było zabiegać o to wszystko, co osiągnęliśmy?”. Powiedział, że było warto, ale żałuje, że tyle przeoczył, zgubił po drodze. Że pieniądze i sukces były dla niego ważniejsze niż ludzie. Niż Bóg, którego poznał dopiero teraz. Ma nadzieję, że on na niego czeka – wyznał to tak po prostu, jakby mówił o koledze, z którym umówił się na kosza. 16 kwietnia, sześć lat temu, położył się do łóżka i poprosił, żebyśmy usiedli przy nim. W momencie śmierci trzymałam go za rękę. Wszyscy, którzy widzieli go potem, mówią to samo: Jurek umarł uśmiechnięty. W ubiegłym roku syn się ożenił. Choć kiedyś był ateistą, wziął ślub w kościele. Córka była jego świadkiem, przystąpiła do bierzmowania. Do „klonów” chodzimy regularnie. Ten Jurka jest najładniejszy. >



# RAPORT

## *Dobre pożegnanie*

< *Jeżeli śmierć bliskich czegoś nas uczy, to przede wszystkim tego, że na świecie nie liczy się nic poza miłością.*

Santa Montefiore, pisarka brytyjska

### O CÓRCIE OPOWIADA

#### EDYTA:

Paulina nie mogła wyjść z przeziębienia. Gorączka się przedłużała, leki nie działały. Kiedy doszła do siebie, znowu zachorowała. Zapalenie oskrzeli, zatok. Zrobiliśmy badania, to było podejrzane. Nasza rodzinna pani doktor pokręciła głową: bardzo niski poziom leukocytów, może to anemia, ale nie można wykluczyć czegoś groźniejszego. Zleciła serię badań. Paulina chodziła do szkoły, była pewna, że to chwilowy spadek odporności. Myliła się. Diagnozy wysłuchaliśmy we troje, z mężem: ostra białaczka szpikowa. Co takiego?! Szok, niedowierzenie, strach. Po powrocie do domu Paulina natychmiast zasiadła do internetu, my nie mogliśmy się otrząsnąć z przerażenia. Zgłosiliśmy się do kliniki w Szczecinie, lekarz z hematologii pocieszał: natychmiast zaczniemy poszukiwanie dawcy. Czyli przeszczep? Tak, ale najpierw ostra chemia. Paulina słuchała z rozszerzonymi źrenicami. Jak to? Przecież wkrótce miała zdawać maturę, złożyć papiery na uniwersytet. TO naprawdę jest śmiertelne? Ile procentowo osób wychodzi z białaczki? Domagała się, by lekarz potwierdził, że wyzdrowieje. Kiedy powiedział, że nie może dać gwarancji, wpadła w histerię. Zamknęła się w szpitalnej łazience, słyszeliśmy jak krzyczy, wali pięściami w ścianę. Rozbiła lustro, miała zakrwawione dłonie i zapłakaną twarz. A potem powiedziała: „Nie dam się, będę walczyć!”.

#### DETERMINACJA

Nie mogliśmy być dawcami szpiku dla córki ani jej siostra. Nie mieliśmy antygenów zgodności tkankowej. Szpital rozpoczął poszukiwanie rejestrów dawców niespokrewnionych, my podziwialiśmy hart ducha Pauli.

Czerpaliśmy z jej siły. A ona rozmawiała z innymi chorymi w klinice, na FB dzieliła się swoim optymizmem z tymi, którzy się załamywali. „Damy radę, dla każdego w końcu znajdzie się szpik! Uszy do góry” – pisała. „Mamo, przestań się tak zamartwiać, jestem silna, myśl pozytywnie” – pocieszała i mnie. Mąż był w kontakcie z lekarzami, brał na siebie informacje: dawcy wciąż nie ma, Paulina ma rzadki genotyp. Woziliśmy ją na kolejne chemie i widzieliśmy, że przyjmuje je coraz gorzej. „Jak mam już dość, kładę się bez ubrania na chłodne prześcieradło, rozpościeram ręce, leżę wtopiona w to zimno. To mi pomaga, spróbujcie” – pisała, a my nie mogliśmy tego czytać. „Jesteś wielka, pisz częściej” – prosili za to jej chorzy znajomi. Pewnego dnia, gdy siedzieliśmy z nią w szpitalu i graliśmy w scrabble’a, Paula osunęła się z krzesła na ziemię. Wyniki badań były tragiczne. Dwie dziewczyny i trzech chłopców, leczących się krócej w tej samej klinice przeszło już transplantację, a Paula dalej czekała. „Umrę” – powiedziała mniej więcej pół roku po diagnozie. W jej głosie była przerażająca pewność. Mąż poszedł płakać na balkon, Paula włączyła laptopa. „Umrę”, napisała na FB i zapowiedziała, że znika z sieci na trochę. Coś w niej rosło, dojrzewało. Milczała kilka dni, siedziała w oknie, przeglądała zdjęcia. „Nawet jeśli to koniec, miałam piękne życie. Nie zamierzam odejść jako frustratka” – powiedziała przy kolacji. To były najmocniejsze słowa, jakie w życiu słyszałam.

#### SIŁA

„Przeżyłam dziewiętnaście lat, ty sześćdziesiąt. Masz trzy razy więcej powodów, żeby doceniać życie” – tego wpisu nie zapomnę nigdy. Córka zadedykowała go mężczyźnie, który zwierzył jej się, że nie potrafi się pogodzić z nadchodzącą śmiercią. Że myśli tylko o cierpieniu, bólu, który jest

## NIE PŁACZ, MAMO...

Paulina powiedziała: Miałam piękne życie, nie zamierzam umierać jako frustratka. Uczyla nas, że kiedy ona odejdzie, zostanie z nami jej miłość.

przed nim. I o niewiadomej: czy będzie coś potem, czy kres jest definitywny? „Załóż, że będzie pięknie i szukaj dobrych stron. Może miałeś naprawdę fajne życie, ale nie umiesz tego docenić, bo myślisz wyłącznie o śmierci?”. Te słowa były bardzo dojrzałe, zbyt poważne jak na niedoszlą maturzystkę. Onieśmiały mnie. Ale chłonęłam jej spokój, nawet jeżeli był pozorny. Przecież Paula wyczekiwała telefonu z kliniki, liczyła, że w końcu dawca się znajdzie. Kiedy informacja się powtarzała: „Wciąż szukamy...” – zamykała się u siebie i wyla. Roztrzaskała niejedną szklankę, niejedną książkę wylądowała na ścianie. Bywała wściekła i rozgoryczona. Jakim cudem umiała usiąść potem do laptopa i napisać: „Dziś oglądałam film z wakacji. W Hiszpanii byłam szczęśliwa. Wiele razy byłam szczęśliwa. Doceniam to”? Z czasem zaczęła tracić siły. Miała zapadnięte oczy, dookoła nich sine podkówki. Przystała robić sobie zdjęcia. Już nie rozróżniała smaków,

zapachy ją drażniły. Wypadły jej nie tylko włosy, ale także brwi i rzęsy. Z trudnością uderzała w klawiaturę. „W podstawówce pisałam wiersze. Zebrałam je, schowałam do Niebieskiego Pudełka. Wkładałam tam wszystko, co mówi o moim udanym życiu. Róbcie swoje pudełka” – poradziła jeszcze na FB.

#### KLEPSYDRA

Kiedy była już zupełnie wycieńczona, zachorowała na zapalenie płuc, doszły powikłania, serce pracowało ostatkiem sił. „Śmierć będzie dla mnie wybawieniem. Już na nią czekam” – powiedziała. Byliśmy wstrząśnięci, ale przy niej próbowaliśmy się trzymać. Traciliśmy wspomnienie dziecka, jednak przecież było z nami przez prawie dwadzieścia lat. Rozmawialiśmy więc o tym, ile świetnych rzeczy razem przeżyliśmy, co pamiętamy. Nawet żartowaliśmy. Mąż i ja zrozumieliśmy, że o to chodziło Pauli – zostawić nas w świadomości, że wspólnego szczęścia nie odbierze nam nic. Dzisiaj, kiedy minęła ponad dekada, wiem, jak bardzo jej mądrość w tamtej chwili pomogła nam przetrwać następne lata. Niebieskie Pudełko otworzyłam dopiero rok po pogrzebie. Były tam fotografie, listy od przyjaciół, bilety z podróży, świadectwa szkolne, karty pamięci. Znalazłam też plastikową szpitalną opaskę z datą urodzenia i imieniem Pauli – dostała ją zaraz po porodzie. A na dnie była kartka złożona we czworo, z napisem „Mama i Tato”. Wiedziała, że kiedyś otworzymy pudełko. Drżącymi rękami rozłożyłam kartkę – tylko trzy słowa: „Dziękuję. Kocham was”. Nie mogłam opanować łez, choć żegnając się z córką obiecałam, że nie będę płakać. A potem dołożyłam do pudełka coś jeszcze – klepsydrę informującą o jej odejściu i pogrzebie. Myślę, że Paula chciała, aby tam się znalazła. Miała dobre życie i dobrą śmierć. To takie ważne...

AGNIESZKA LITOROWICZ-SIEGERT